

218



„Kram z piosenkami“ na scenie Teatru Narodowego w Warszawie. Na zdjęciu, w środku, Igor Smiałowski.

foto: E. Hartwig

KRAM Z PIOSENKAMI

Nie lubię chodzić na premiery. O wiele przyjemniejsze są codzienne przedstawienia, a jeśli się jeszcze trafi na „dobrą“ widowieństwo, chłonna i wrażliwa, satysfakcja jest pełna. A przy tym te zwyczajne przedstawienia, oglądane w jakiś czas po premierze, są po prostu prawdziwsze. Ich wady i zalety są jasno widoczne. Często spektakl na premierze jeszcze nie dopracowany, nierówny, dopiero po którymś z kolejnych wieczorów osiąga pełnię wyrazu. Ostatnio byłam na dwóch przedstawieniach bardzo źle ocenionych przez prasę po premierze, które po pewnym czasie wcale na nagane nie zasługują.

„Kram z piosenkami“ w Teatrze Narodowym miał nie najlepszą prasę. Zarzucano inscenizacji BARBARY FIJEWSKIEJ brak

temperamentu i zwyczajną nudę. A jeśli się mówi, że „Kram“ jest nudny, to już bardzo źle. Wybrałam się do Narodowego z poczuciem obowiązku raczej, niż dla przyjemności i okazało się, że przedstawienie dojrzało, ucukrowało się, nabrało kolorów. Po nudzie ani śladu! Przeciwnie — i aktorzy, i publiczność dobrze się bawia.

W Schillerowskim „Kramie z piosenkami“ najważniejsze jest zachowanie stylu poszczególnych partii. I to zarówno stylu w sposobie aktorskiego podania piosenki, jak i w geście, w ruchu, w tańcu. Schiller prowadzi widza od „Kurdeusza“ i staropolskich polonezów, poprzez scenki i piosenki z epoki rokoka i empiru po początki walca, śpiewki młodopolskie, aż na Bielany sprzed I wojny

światowej. Rozpiętość kolosalna. Od sarmackiej zadzierzystości po cwaniactwo nadwiślańskich andrusów. W Narodowym, ten „Kram“, jaki dziś możemy oglądać, w tym sensie jest nienaganny. W śpiewkach rokokowych aktorzy wyglądają jak porcelanowe figurynki na moment ożywione. Dziewczyny są prześliczne, delikatne, wiotkie; zszarżają w partiach młodopolskich, zoordynarnieją, kiedy się staną miłośnicami bywalców majówek na Bielanach. Dbałość o styl jest daleko posunięta, aktorzy nie tylko dobrze noszą kostiumy z kilku epok, nie tylko śpiewają i poruszają się w zgodzie z kostiumem — „noszą“ także twarze odpowiednio do kostiumu. Tyczy to przede wszystkim pań, które z wdziękiem naśladowują znany z portretów sposób patrzenia, układ ust, mimikę rokokowych pasterek i empirowych elegantek. Może trochę szarżują w ludowych scenach na Bielanach, ale to w żadnej mierze nie zmniejsza ich uroku. Bardzo dobry jest ten spektakl także od strony wokalnie - choreograficznej. Nie wymaga się od aktorów, żeby śpiewali lub tańczyli jak zawodowcy, ale im sprawniej to robią, tym lepiej dla „Kramu“. Barbara Fijewska, która już nie jeden „Kram“ reżyserowała, tym razem bardzo skomplikowała ewolucje

choreograficzne i, o dziwo, duży zespół aktorski wykonuje je nie tylko sprawnie, lecz i z gracją. A są w tej choreografii partie naprawdę trudne. Kiedy dochodzimy w końcu do kanкана, widownia rozgrzana przedstawieniem przytupuje i przyklaskuje roztańczonym dziewczynom.

Dość blado wyglądają tylko partie staropolskie. Niemalą winę ponosi za to scenograf LUCJA KOSSAKOWSKA, która kontusze i żupany zaprojektowała z malowanego płótna. Już raz w „Zemście“ na tej samej scenie widzieliśmy tak zgrzeźbnie noszących się Miecznika i Rejenta. Malowane słuckie pasy — to doprawdy przesada! Największy krótkowidz zobaczy, że coś tu jest nie tak, jak trzeba. Poza tym pani scenograf stanęła na wysokości zadania. Dekoracje są proste, a przy tym dobrze wprowadzają w epokę, kostiumy — poza nieszczytnymi kontuszami — bardzo ładne (śliczne dla scen rokokowych). W sumie spektakl, jaki widziałam w końcu kwietnia, daleki był od tego, co o nim pisano parę miesięcy wcześniej. Jego klasa zdecydowanie poszła w górę. Aktorzy się zgrali, doszlifowali, a może zaszły jakies dodatkowe procesy. Dość, że raz jeszcze stwierdziłam, iż dobrze jest nie chodzić na premiery.

(EL. ŻM.)